

FESTIWAL SZKÓŁ TEATRALNYCH - PAMIĘTNICZEK

W ostatnim tygodniu kwietnia odbywał się w Łodzi **31. Festiwal Szkół Teatralnych** - obserwowaliśmy go z uwagą, momentami z rozbawieniem, momentami z zachwytem.

Wtorek był dniem otwarcia Festiwalu. Oficjalne otwarcia wiążą się na ogół z celebrą, nudnymi przemówieniami, wpadkami zdenerwowanych i nieprzygotowanych konferansjerów. Tym razem było zupełnie inaczej.

Studenci młodszego rocznika przygotowali prawdziwe show, umiejętnie balansując na granicy powagi i dowcipu, szacunku i młodzieńczej dezynwoltury. Były piosenki, nagrane telefonem filmy o czterech uczelniach biorących udział w Festiwalu, było śmieszne powitanie oficjeli z celowym zapominaniem nazwisk, były balony i szalony facet z pistoletem, który robił porządek na scenie. Potem zawołał "Mariusza", czyli JM Rektora, który wstał ze swojego fotela w siódmym rzędzie, zaprosił kolegów rektorów na scenę i otworzył Festiwal. Mariusz Grzegorzek powiedział młodym aktorom, że mają teraz tygodniowy Dzień Dziecka.

Po krótkiej przerwie Akademia Teatralna z Warszawy przedstawiła *Wesele* Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Jarosława Gajewskiego. Wydawało się, że wpisanie spektaklu w uroczystość otwarcia (zapewne zdecydowała o tym ranga arcybiskupiego dramatu) to wyróżnienie i handicap. Okazało się, że nie do końca - w krótkiej przerwie część gości ulotniła się do szatni, część wyszła w kolejnych antraktach. Niezłe przedstawienie w niezasłużony sposób traciło widownię. Trochę żal młodych aktorów... walczących o artystyczny efekt do krwi (Poeta w pewnym momencie grał z krwotokiem z nosa).

W spektaklu wykorzystano oryginalne kostiumy Krzysztofa Pankiewicza pochodzące z inscenizacji „Wesela” w Teatrze Polskim w Warszawie w reż. Kazimierza Dejmka z 1984 roku. Bradzo dobrze wypadła też wykonywana na żywo przez dwie aktorki muzyka Piotra Nazaruka. Profesjonalna gra na gitarze i wiolonczeli świadczy o ich dużej wszechstronności.

Wieczorem studenci z Wrocławia pokazali *Naszą klasę* Tadeusza Słobodzianka w reżyserii Łukasza Kosa. Pomysł, by grać o 22.00 (a tak naprawdę o 22.15), nie był chyba najlepszy. Po północy każdy spektakl wydaje się zbyt długi i monotony.

Ondrej Spišák realizując *Naszą klasę* w Teatrze na Woli, postawił w scenografii na szkolne ławki, Łukasz Kos zdecydował się na salę gimnastyczną, na której w początkowych scenach cała grupa młodzieży z Jedwabnego uprawia ćwiczenia fizyczne. Podziały narodowościowe przy grze w koszykówkę nie mają znaczenia, potem sprawy się komplikują. Skutków dramatycznych wydarzeń nie jest w stanie odmienić nawet prezydent Kwaśniewski i TVN - życie jest już zmarnowane i nic tego nie cofnie. Jedynym wygranym pozostaje Abram Piekarczyk, który w odpowiednim czasie wyjechał do Ameryki.

Grający tę postać Adam Pietrzak dobrze odnajduje się w roli starego Abrama, spełnionego ojca, dziadka i pradziadka. Nie wiedzieć czemu akurat w tej scenie najdynamiczniej się porusza, wykonując podskoki i pląsy. Jest już wtedy ubrany w czarną koszulę i spodnie, co korzystnie odmienia jego wizerunek. Albowiem kostiumy z przedwojennej lekcji WF-u, w których aktorzy występują przez większą część przedstawienia, to nie jest chyba dobry pomysł. Zwłaszcza dziewczyny wyglądają w tych białych koszulkach i bufiastych szortach jak licealistki zmuszone groźbą niezdania do udziału w zaległych zajęciach z gimnastyki. W ogóle to nie jest raczej zespół sportsmenów, choć z drugiej strony - przecież ci młodzi ludzie mają być aktorami, a nie olimpijczykami.

Aktorsko wyróżnili się Michał Kosela i Karolina Gibki, dobre momenty miał Tomasz Kocuj, Agata Bykowska była Zochą z krwi i kości.

Szkoda tylko, że spektakl kreśli sprawę Jedwabnego tak mocną, karykaturalną wobec Polaków kreską. Otrzymujemy opowieść o dobrych Żydach i złych, głupich Polakach. Więcej zniuansowania trudnego przecież problemu było w spektaklu Spiśáka.

* * *

Środę zaczęliśmy z siostrami Brontë. Spektakl według Susanne Schneider z warszawskimi studentami przygotowała Bożena Suchocka. Z realizatorów warto wymienić odpowiedzialnych za wspaniałe światło Jacka Karasińskiego i Piotra Kowalskiego, a także scenografa Jana Kozikowskiego. Widzimy trawnik ze sztucznej trawy, drewnianą podłogę, kilka prostych mebli, sekretne skrzyneczki na zapisane przez siostry stronicie. Po lewej stronie podświetlony podest, na którym najczęściej pokłada się brat trzech sióstr - alkoholik Branwell. Dużo ciekawszą postacią jest przywoływany z marzeń Charlotty - lord Byron (Piotr Piksa). Ale oczywiście najważniejsze są trzy siostry - Anne (Paulina Komenda), Charlotte (Afrodyta Weselak) i Emily-Jane (Aleksandra Radwan). Tekst sztuki wymaga od dwóch z nich przyznawania się do braków urody, co nłoci się z oglądanym na żywo obrazkiem. Na pewno nie jest tak, że *cztery na pięć kobiet są od występujących ładniejsze*. Może dziewczyny uczą się w ten sposób pokory.

Pedagogiczne w stosunku do młodych aktorów jest też przesłanie sztuki - lepszy solidny, kochający wikary (kościół anglikański) niż bawidamek-dandys, lepszy konkret i pewność niż gonienie za mirażami romantycznego arcyzmu. Pisać można wieczorami...

Sama sztuka jest więcej niż solidna. Wyraźnie zarysowane postaci, ładne obrazy, stylowe kostiumy, dowcipna postać Byrona, realny konflikt wyobrażeń i rzeczywistości, dobrze obsadzone aktorki.

Trochę brak w tym było napięcia, intensywności.

Elektryzująca (przypominamy o plebiscycie), dzika Aleksandra Radwan szalejąca po wzgórzach i bagnach, a obok zacięta w sobie, jakby przeniesiona z "Nad Niemnem" Afrodyta Weselak. Do zapamiętania, podobnie jak "modlitwa dziewicy" Pauliny Komendy.

Wieczorem dwa łódzkie spektakle. *Shopping & Fucking* obłączone przez publiczność. Więszość studentów nie dostała się na widownię - może i lepiej, gdyż spektakl powinien być dozwolony od 28 lat. Ale kilka nagród na pewno zdobędzie - za przekraczanie kolejnych granic. Tylko co trzeba będzie zrobić w przyszłym roku?

Trochę mniej chętnych było *Rumunów mówiących po polsku*. Ale ponieważ Mała Scena jest zgodnie z nazwą mniejsza od dużej - tłók był podobny. Jak zagrali? Jak się patrzy, a raczej jak się patrzy i słucha, gdyż sześcioro łódzkich studentów całkiem dobrze grało też na instrumentach (skrzypce, gitara, akordeon, mandolina, grzechotki). Instrumenty stały się też "narzędziem pieszczoty" w świetnej scenie erotycznej (Albert Pyśk i Kamila Kamińska). Co jeszcze zapamiętamy? Świetną rolę Magdaleny Drab jako pijanej właścicielki opla i niezbyt udane zakończenie z samobójczą śmiercią Giny. Tomasz Lipiński lepszy jako Rumun mówiący po polsku niż jako aktor przebudzony z narkotycznego transu.

* * *

W czwartek znowu *Rumuni mówiący po polsku*, tym razem Rumuni z Wrocławia - trzeba się zastanowić, co jest takiego ciekawego w tym tekście. Rumuni warszawscy gorsi od łódzkich, mniej energii, mniej ciekawych pomysłów, aktor gorzej udaje pijanego. Tekturowy samochód i kierownica do ręki to chyba zbyt dosłowne. Za to fajny dres z napisem *JP 99%* - kto go zakłada, ten gra Parchę.

Wieczorem *Mężczyzna, który pomylił żonę z kapeluszem* w reżyserii Krzysztofa Globisza. Jak na razie najlepszy spektakl festiwalu. Dopracowany w każdym calu - od scenografii (przemieszczające się po niebie mózgi-planety), przez muzykę skomponowaną przez jednego ze studentów, aż po grę aktorów: zwłaszcza Marty Mazurek, Karoliny Głąb i Adrianny Kućmier. Scenki z chorymi psychicznie to niewątpliwie okazja to serwowania widzom śmiesznych momentów (np. tekst: Nie mogę grać w ping-ponga, bo moje odbicia są frywolne), ale przedstawienie jest zdecydowanie czymś więcej - pełnym współczucia pochyleniem się nad cierpieniem psychicznie chorych i bezradnością lekarzy, wyrazem ciekawości wobec odmiennie skonstruowanych światów wewnętrznych. Młodzi aktorzy opowiadają na początku o sobie - aktorstwo też jest chorobą psychiczną?

* * *

Gdyby chcieć obejrzeć wszystkie trzy piątkowe spektakle, należałoby spędzić na widowni siedem i pół godziny. Zwykły człowiek tego nie wytrzyma - jurorzy musieli. Ale czy mogli uważnie patrzeć i przyznawać punkty? Czy nie myliły im się harcerki ze spektaklu *Harce młodzieży polskiej*? Mnie się myliły. Sam spektakl wydał mi się początkowo satyra na harcerstwo i wartości patriotyczne. Ale jednak nie - było bardziej wieloznacznie. Pytanie o harcerstwo w czasach konsumpcjonizmu zostało zobrazowane sceną dyskusji o zbieraniu przez harcerzy pieniędzy za pakowanie zakupów w ekskluzywnych delikatesach na A. Argumenty za i przeciw w groteskowy sposób obnażały sposób myślenia współczesnej klasy średniej. Inny wątek - skauting zawłaszczyli w Polsce narodowi katolicy. A ja myślałem, że komuniści. Dobra rola współczesnej harcerki-okularnicy, która opowiada o tym pakowaniu zakupów i której wymyka się dławiony dłońmi okrzyk *Kurwa, ile oni jedzą*.

Następnie *Złesny* pokazali łodzianie. Spektakl byłby dużo lepszy, gdyby trwał pół godziny krócej. Zasada, że każdy musi się pokazać ileś tam razy, szkodzi przedstawieniom dyplomowym. Znakomitą skądinąd bajkę o mrówce można by sobie darować, gdyż nie pasuje do reszty materiału. Z 5 do 4 zredukowałbym też liczbę zakończeń finałowego snu o Polsce.

* * *

Sobota to był świetny dzień. Iwan Wyrypajew zrobił z krakowskimi studentami spektakl w najprostszy z możliwych sposobów. *UFO. Kontakt* to w zasadzie 10 etiud (tak będą wyglądać dyplomy na aktorskich studiach przez Internet), w których aktorzy nie grają postaci, ale - jak to zostało powiedziane - użyczają im głosu. Pusta scena, krzeselko, w tle ekran do projekcji pomiędzy kolejnymi opowieściami. Prostota, ciekawy tekst o ważnych sprawach, których nie widzimy sami i dlatego muszą nam o nich opowiedzieć kosmici. Na przykład, że żyjemy w ciągłym szumie, a prawdziwa cisza mogłaby nas uspokoić, o czym świetnie opowiedział Michał Wanio.

A potem Monika Strzępka zaprosiła nas do świata, w którym miłość i informacja tkwią splecione w śmiertelnym uścisku. 56 scenek, w których 12 biednych aktorów mówiących po polsku (czasami w gwarze śląskiej) odgrywa 100 postaci. Scena jest kilka razy większa od widowni, dzięki czemu światło wydobywa kolejne miejsca do gry (wiele scenek rozgrywa się tam, gdzie tradycyjnie siedzi publiczność). Estetyka filmowa - począwszy od czołówki z napisami na wielkim ekranie, a na szybkim montażu kończąc.

* * *

Niedziela - jury nie pracuje. Widzowie słuchają spektakli śpiewających. Najpierw studenci warszawscy pod kierownictwem Andrzeja Poniedziałkiego pokazali *Piosennik*. Najdłużej na scenie przebywał sam Poniedziałki, który pomylił chyba swoją funkcję z kapeluszem. Zamiast uczyć

studentów śpiewać, opowiadał dowcipy i mruzczał swoje (czasami nawet dowcipne) piosenki. Spośród dopuszczanych czasem do głosu studentów wyróżnił się Piotr Piksa, zwłaszcza w swojej drugiej, a w ogóle ostatniej piosence - *Pod niebem* Adama Nowaka.

Pech grupy wystawiającej Piosennik polegał też na tym, że bezpośrednio po nich studenci z Krakowa pokazali *Niech no tylko zakwitną jabłonie* - śpiewana historie Polski z piosenkami Agnieszki Osieckiej. Na scenie gwiazdy tego festiwalu (jak się miało za chwilę okazać) - zdobywczyni Grnad Prix Marta Mazurek, laureat Nagrody ZASC Daniel Malchar i wyróżniona Karolina Głąb (brawurowe wykonanie *Rebeki* wywołało burzę oklasków). A do tego najlepszy chyba głos festiwalu, czyli Weronika Wronka i urocza Adrianna Kućmierz. Niezwykłe tempo, równiutko wykonywane układy choreograficzne, inteligentny dowcip i pozytywny przekaz. *Świat nie jest taki zły...*

A potem już były tłumaczenia się z kostiumów, żarty rektorów, przesłanie od Jerzego Stuhra (z ekranu) i nagrody, nagrody, nagrody...

Piotr Grobliński